Nr. 3. Lwów dnia 17. Lutego 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Plac kapitulny Nr. 7.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „Świcie“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

TRYUMF PROLETARYUSZÓW

przez

Adama Mickiewicza;

podał i wstępem objaśnił

Agaton Giller.

(Dokończenie.)

Krążyły od pewnego czasu wieści o wielkiej bitwie stoczonej na północy. Mówiono o zniszczonych armiach, o królach ukaranych śmiercią, o wielu książętach zabitych lub wziętych do niewoli. Te wieści przychodziły zewsząd, z Włoch i z Anglii. Wielekroć zaprzeczano im, nie przestawały one jednak krążyć dopóki nie zostały potwierdzone przez wypadki: szczególny to przykład prawdy instynktu ludowego. W rzeczy samej odebrano urzędowe raporty o zwycięztwie, którego rezultaty zdawały się przewyższać nawet przesadne doniesienia bajarzy.

Pozostawiliśmy armię konfederatów cofającą się ku Prusom. Armia ta, po doznanych porażkach w Belgii, starała się utorować sobie drogę do Polski i zdawało się, że miała zamiar wejść do niej przechodząc przez Berlin.

Monarchiści zwycięzcy ale osłabieni, zatrzymali się w Belgii, aby zreorganizować się i porozumieć z prawem skrzydłem, które zajmowało Saksonię. Armia atoli saska, odebrawszy przesadne wieści o zwycięztwie pod Ostendą i o cofaniu się konfederatów, pośpieszyła przeciąć im odwrót. Przeszła Odrę i zbliżyła się forsownymi marszami do Berlina. Wojskowi słusznie naganiają ten ruch, który był przyczyną wszystkich następnych klęsk. Armia bowiem monarchistów, opuszczając Saksonię, traciła wszystkie korzyści, jakie zapewnia wojskom kraj górzysty. Bataliony piechoty regularnej, niezwyciężone pośród gór i rzek, wyszły na równiny Prus pod okiem potężnej jazdy powstańców. Ci zdawali się rozumieć dobrze korzyści swego położenia, bo zatrzymali się pod Berlinem.

Armia monarchistów doścignęła ich tam wkrótce. Tymczasem generałowie najdoświadczeńsi byli zdania, żeby nie ryzykować bitwy przed przybyciem armii z Belgii, której marsz przyspieszano. Ze swej strony rewolucyoniści nie ruszali się ze swego obozu. Mówiono, że oczekiwali posiłków z Polski. Przez dwa dni armie obserwowały się w milczeniu. Ale dowódzcy konfederatów Węgier Wizat i Ukrainiec Didko, niecierpliwie pragnąc boju, a chcąc wywabić monarchistów z ich warownego obozu, wykonali ruch, który był uwieńczony najpomyślniejszym skutkiem. Posunęli znaczną część swej piechoty na miasto. O świcie wykonano szturm, przebyto mury i zaczęto mordować mieszkańców, podłożywszy ogień ze czterech stron miasta. Na widok ogromnych płomieni z tej wielkiej stolicy, żołnierze monarchiści, między którymi było wielu Prusaków, wydawali okropne wrzaski. Rzucili się do broni krzycząc, żeby ich prowadzono na nieprzyjaciela. Król pruski dał wtedy rozkaz posunięcia się naprzód pomimo przeciwnego zdania królów saskiego i bawarskiego i zbliżył swe prawe skrzydło do miasta. Aby doń wejść, należało przebyć wielką płaszczyznę. Czterdzieści batalionów najlepszego wojska monarchistów ruszyło krokiem bojowym w ściśnionych kolumnach. Jazda rewolucyjna obserwowała je, nie atakując, co było powodem ogólnego zdziwienia. Kolumny wchodzą do miasta i rozpoczynają walkę uliczną z nieprzyjacielem ukrytym po domach. Wizat i Didko działali z wielką przezornością. Ich plan był bardzo prosty: postanowili poświęcić swoją piechotę a wykonać atak decydujący z konnicą, która stanowiła ich główną siłę. Zamiast więc odpierać kolumny nieprzyjacielskie od środka, woleli zajmować je w mieście, gdzie ich piechota, niezdolna do manewrowania w czystem polu, mogła prowadzić bój tyralierski. Potem wziąwszy resztę swej piechoty, uzbrojonej po większej części w piki i topory, sformowali ją w zbitą masę i rzucili we środek armii nieprzyjacielskiej. Ten tłum piechurów, dziesiątkowany przez działa i ogień rotowy, dotarł jednak do wojsk liniowych. Wówczas monarchiści zbliżyli skrzydła, żeby tłum ten otoczyć i zgnieść. Rewolucyoniści czekali właśnie na tę chwilę. Widzieli kolumny nieprzyjacielskie w ruchu i korzystając z nieporządku, który się wkradł do centrum, pchnęli nań całą

swoją jazdę, z rozkazem albo rozbić środek, albo przedrzeć się i rzucić potem na prawo i na lewo. Pięćdziesiąt dwa tysiące jezdnych Węgrów, Polaków, Czechów i Kozaków ruszają z okropnym okrzykiem. Piechota rewolucyjna, zagrożona przez swoją własną jazdę, biegiem rzuca się w szeregi nieprzyjaciół i morduje wszystko co spotka. Bataliony złamane już zbiegać zaczęły, gdy straszna ławina jazdy otacza te bezkształtne masy, rozbija je i rozprasza.

Rzeź trwała dzień cały i część nocy, ponieważ piaszczyste równiny Berlina nie dawały schronienia uciekającym. Liczba zabitych jest rozmaicie podawana przez autorów; jedni liczą 200.000, drudzy 150.000. To tylko jest pewnem, że cała armia monarchistów poległa na placu boju. Wielka liczba niemieckich baronów, około tysiąca hrabiów, trzydziestu panujących książąt i król bawarski byli pomiędzy zabitymi. Król saski ciężko ranny dostał się do niewoli. Co się zaś tyczy króla pruskiego, walczył on na czele swej piechoty w samem mieście Berlinie.

Ten monarcha, którego widzieliśmy jak przechodził, nie będąc atakowanym, przez równinę, wkroczył do miasta z przekonaniem, że już na żadne niebezpieczeństwo narażonym nie był. Kazał uzbroić działami bramy i przejścia i budować barykady. Zapewniwszy tak swe tyły, zajął się wyparciem powstańców. Ci, wypędzeni z placów i ulic, zaparli się w domach. Król pruski, pragnąc oszczędzić miasto, otaczał nieprzyjaciela, żeby go zmusić do złożenia broni. Nagle dowiaduje się, że piechota rewolucyjna zwróciła się całą masą na obóz. Ta wieść napełniła go radością, ponieważ konfederaci, zajęci na płaszczyźnie, mogli mu dać czasu do zdobycia miasta. Nie zaś nie obawiał się o obóz, w którym zostawił 89 batalionów, siłę więcej niż dostateczną do odporu chłopów zbrojnych w siekiery i kosy. Prowadził więc dalej spokojnie swoje operacye aż do chwili, w której dowiedział się równocześnie i o szturmie i o zniszczeniu armii. Zdaje się, że ta niespodziewana wiadomość odebrała ducha królowi. Wahał się długo co przedsięwziąć. Robią mu zarzuty, że stracił tym sposobem kilkanaście godzin nieocenionego czasu. Zapewne, iż nie mógł iść, jak niektórzy chcieli, na pomoc armii, która już nie istniała, ale powinien był korzystać ze sposobności i wykonać odwrót. Że tego nie zrobił, uniewinnia go trudność położenia. Jego armia rozrzucona po placach i ulicach, zdezorganizowana przez długi a uparty bój, nie mogła ani szybko odbierać rozkazów, ani też wykonywać ich ściśle. Wśród tego zamięszania doszła wiadomość o klęsce obozu, rozeszła się po Berlinie i podsyciła zaciętość oblężonych a przeraziła oblęgających.

Nagle, w skutek zdaje się mimowolnego popędu, rzucili się monarchiści ku wyjściom miasta, jużto aby się ratować ucieczką, jużto aby się połączyć ze swymi sprzymierzonymi. Wśród ogólnego zamięszania, pułki, bataliony wybiegały na równinę, gdzie kolejno zostały wyrznięte przez korpus jazdy postawiony w obserwacyi. Napróżno kilka oddziałów starało się wrócić do miasta, tłum, który z niego wychodził odpierał je i ginął w masie jazdy swoją koleją. W tej samej chwili powstańcy rozpoczęli bój zaczepny, ścigając uciekających i kończąc tę rzeź, która trwała sześć godzin.

Król pruski, dokazawszy cudów waleczności, uniesiony w popłochu, zrzucony z konia, zdeptany i okropnie poraniony, wpadł w ręce zwycięzców.

Wschód słońca nie wstrzymał rozlewu krwi. W tych barbarzyńskich czasach, wojny były strasznemi i zwycięztwo nieubłaganem.

Przystąpiono do klasyfikacyi więźniów. Szlachta zginęła prawie cała na placu boju. Mała jej reszta została ułaskawioną, nie była bowiem już niebezpieczną a przez swą waleczność zasłużyła na szacunek zwycięzców. Za to srogo postąpiono z biurokratami, to jest ze wszystkimi urzędnikami, z ich dziećmi i krewnymi. Liczba tych urzędników, szczególniej w Prusach, musiała być ogromną. Znaleziono pomiędzy więźniami 10.000 radców, 7.000 sędziów, zastępców i referendarzy. Powieszono wszystkich. Takiż los spotkał pastorów, bardzo przywiązanych do panującego i zarazem naczelnika ich kościoła.

Króla pruskiego oddano pod sąd. Nie będziemy opowiadali szczegółów tego smutnego procesu. Badanie odbyło się sumarycznie z podeptaniem wszelkich formalności sądowych. Ponieważ jednak przedstawiło się wielu świadków oskarżających (témoins à charge), zdawało się, że ta okoliczność powinna była przedłużyć o kilka dni życie więźnia. Rewolucyoniści zniecierpliwili się tą zwłoką. Przywódzca Didko rozkazał zastosować procedurę pruską. Według zaś tej procedury władza wykonawcza ma prawo wydać wyrok zwany *macht-spruch*. Didko dzierząc władzę wykonawczą zawyrokował *macht-spruch*, skazujący króla pruskiego na szubienicę.

Królewski więzień bronił się do tej chwili z wielką godnością i przytomnością umysłu. Jako władzca absolutny nie mógł zasłaniać się nieodpowiedzialnością i zrzucić winy na swych ministrów, to też i nie uciekał się do tego środka. Ograniczał się tylko na zbijaniu oskarzenia i dowiódł fałszu wielu świadkom. Ale poddany prawu *macht-spruch*, nie śmiał już ust otworzyć, a nie mógł zaprzeczać tego świętego prawa, którego używał sam tyle razy i jako monarcha światły a sumienny poddał się wyrokowi niesprawiedliwemu, ale legalnemu.

SIC VOS NON VOBIS.

Poezya gaśnie — wy tak mówicie,
Bo któż poświęci się dla niej,
Kto jej ołtarzom poślubi życie,
Gdzie dziś poezyi kapłani?

Kto w tym zamęcie słucha jej głosu,
Kto w sercach echo obudzi?
Bóg światło wywiódł z pośród chaosu,
A pieśń — to światło dla ludzi!

Swiat na złoconym swoim barłogu
Zaparł się serca i ducha —
O mistrze! pieśń swą odnieście Bogu,
Bo świat dziś pieśni nie słucha.

Poezya gaśnie! — o niechaj spłonie
Raczej, jak wschodnich róż krasa,
Nim ją nikczemny szał wasz owionie,
Zanim się treścią rozpasa.

Niech zgaśnie raczej, jak mdłe uśmiechy
Na twarzy na wpół umarłej,
Zanim ją wasze stłumią oddechy,
Nim pokarlicie ją — karły!

Niech skona raczej, jak nędzarz w prochu,
Nim blask przygaśnie jej ducha.
O mistrze! pieśń swą odnieście Bogu,
Bo świat dziś pieśni nie słucha.

Władysław Bełza.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Ciemną kotarą mroków rozrzucił się wieczór dokoła, kiedyśmy z naszej wycieczki wrócili. W przyległem domostwie żydowskiem słychać było skrzypce, bandurę i cymbały. Trzech wirtuozów, odstępców harmonii, wysilało się na coraz straszliwsze gęsiory i dysonanse. Pokazało się, że mieliśmy pod bokiem świetną reprezentacyę szekspirowskiego Hamleta, w teatrze ze stajni na prędce sporządzonym. Trudno było oprzeć się pokusie. Całe więc grono nasze (oprócz pani Starościny, ma się rozumieć) pospieszyło na ten popis Garrikow i Kean'ow humańskich, z czego naturalnie ci panowie musieli być bardzo zadowoleni. Aleksander Potocki towarzyszył nam także. Scena była wyłożona deskami nieszczelnie do siebie przystającemi i tak niedbale przybitemi, że za każdym krokiem aktorów podnosiły się i opadały, gdyby klawisze olbrzymiej jakiejś klawiatury. Kilka lamp łojowych i tyleż żydowskich szabasówek do wydrążonych buraków powtykanych, stanowiły oświecenie taatru. Co do orkiestry, o której było wyżej, Boże wielki! co dokazywała! Jej walce nie miały ni tonu właściwego, ni rytmu, jej mazury datowały bogdaj czy nie od darwinowskich antenatów naszych, jej archaiczne anglezy wyglądały więcej na żydowskie majufis, lub na szalone cygeletrygele, wcale nieodpowiednie patetyczności dramatu. A dekoracye! a kostiumy! Dwa brudne parawany wyobrażały apartament królewskiego zamku. Sam królewicz Hamlet, paradował w starym szlafroku, z długą fajką w ręku — a kiedy deklamował głosem Stentora sławny monolog Be? or not to be? puszczał zawzięcie gęste kłęby dymu dla nadania sobie fantazyi. Ofelia godną była Hamleta, kloc nieociosany harmonizował z takimże klocem — a krzyku, tupania, komicznych kontorzyi było bez liku. Naśmieliśmy się do woli, z czego pan Tadeusz Sarnecki zakonkludował arcylogicznie, że zły teatr lepszy od miernego, bo więcej zabawi.

Kiedy opuszczaliśmy Humań, ranek był prześliczny. Step lśniał pryzmatycznymi połyski rosy, gdyby gradem dyamentów osypany. Od wschodu stąpało słońce w swym wieńcu promieni, z których brały pozłotę blasku gaje tu i owdzie klombami rosnące, zarośla i szczyty samotnych kurhanów. Po obu stronach drogi ląd zapadał w bałki, wydymał się w pagórki, albo się rozrzucał kobiercem traw, ziół rozmaitych i ostów olbrzymich, dumnie sterczących kolczatemi łodygi swemi. Oprócz nas jedynymi żeglarzami stepów morza byli czumaki. Sznurem ciągnęła wałka za wałką do Odessy z ładunkiem ukraińskiej pszenicy. Czumak szedł z biczykiem przy swojej maży i grał na sopiłce albo dumkę jakąś zawodził. Każda wałka, z kilku lub kilkunastu maż złożona, miała swego piwnia (koguta) co siedział na wozie, pory dnia i nocy wyśpiewywał i jako ptak bożkowi wojny poświęcony (vigil, martius, belliger) bacznie i prowokacyjnie dokoła poglądał. Spotykaliśmy także obozujących czumaków. Woły wyprzężone pasły się na stepie, a lud podróżny to spał na trawie, to gwarzył z sobą, lub nucił piosnkę rodzinną, to gotował strawę podróżną w kociołkach wiszących nad ogniskiem za pomocą trzech żerdzi w ziemi utwierdzonych. Czwarty nocleg wypadł nam w Sewerynówce, miasteczku Seweryna Potockiego, podówczas senatora rosyjskiego.

Ze wszystkich osad stepowych, cośmy przejeżdżali, Sewerynówka najwięcej mi się podobała. Schludne jej a nawet ozdobne budowy, pięknie białością swą odbijały na tle zielonem pyramidalnych topoli, tamarysów i białokwitnących akacyi. Winogradniki i ogrody sięgały aż do najwyższych krawędzi góry panującej nad miasteczkiem. W dole stał kształtny pałacyk właściciela w obwodzie drzew i krzewów barwiących kwiecieście dziedziniec, opatrzony ozdobną bramą wjazdową. Na tej bramie siedziały dwa lwy kamienne — z jakiej epoki? rzec nie potrafię. Może starożytne, zkądś przywiezione i jako ciekawość archeologiczna tu pomieszczone? Lew miał w dawnych wiekach symboliczne znaczenie. W piśmie hieroglifów wyrażano nim ostrożność, czujność — zkąd i poszło, że u wnijścia domów i obok pomników egipskich stawiano zwykle posągi lwów. W Essebuah (w Nubii) widno dotąd szczątki lwów kamiennych, co podwójnym rzędem prowadziły do pałacu Ramsesa. W Dakke dwa lwy pilnują podwoi dworca króla etyopskiego Ergamena. W Indyi u progu świątyń podziemnych Ellory, w Makao u chińskiej pagody, w Grecyi u sławnych wrot Myceńskich, przed jedną z bram Ancyry, w Assyryi nawet przy pomniku odkrytym przez p. Layard stały na straży wyobrażenia kamienne lwów w postawie stojącej lub siedzącej. To co brano u nas za prostą ozdobę tylko było więc odwiecznym symbolem rozpowszechnionym w tradycyi narodów starożytności, a którego źródłem był Egipt. Żałuję serdecznie, że będąc smarkaczem jeszcze w r. 1822 nie mogłem poznać się bliżej z lwami sewerynowieckimi i opowiedzieć czytelnikowi o ich pochodzeniu.

Za Sewerynówką znowu nas spotkał step dziki i bezludny. Pył tylko wiatrem wzbity swe harce wyprawiał. Wkrótce ujrzeliśmy wąskie zrazu, potem coraz szersze łożysko Kujalnickiego Limanu. Im bliżej Odessy, tem obszerniejsze przybierał on rozmiary — w końcu rozlał się przed nami ogromnem jeziorem, kołysząc się ruchem wspaniałym na posłaniu piasków brzegowych i muszli. Wszystkie Limany tej strony, oraz krymskie solne jeziora są niczem innem, jak pozostałością morskiego zalewu w peryodzie wyższego wód poziomu, kiedy Kaukaz, Demawend, Taurus i szczyty Taurydy były tylko ostrowami olbrzymiej topieli, łączącej się prawdopodobnie z wodami Morza Białego i Bałtyku. Morze Kaspijskie jest także właściwie Limanem, szczątkiem tego ogólnego morza. Lecz jakiej epoce przypisać ów straszliwy kataklizm, co odosobnił Pont Euksyński, morza Kaspijskie i Aralskie, jeziora Eriwanu, Wan i Urmiah, wyrył cieśniny Jenikale, Dardanelów, Messiny i Gibraltaru, i odkrył lądy obszerne z pod modrej fal zasłony? Czy potopowi biblijnemu Noego? Czy Xisutrusa greckich podań?... Liman kujalnicki, nad którym w chwili naszego przejazdu unosiły się stada wron morskich, mógłby najlepiej tę kwestyę rozwiązać, lecz on milczał, wierny tajemnicy przeszłości, tylko się szmerem przeciągłym do nas odzywał, połyskiem swoim łudził.

*

zmiennością barw porywał, żywotworną wonią tchnień swoich orzeźwiał i pokrzepiał. On zdawał się gwarzyć:

— Spieszcie! spieszcie! Bliska już topiel Euksynu! Czy słyszycie ten łoskot głuchy, groźny i wspaniały? To się on tak do was odzywa — on! dzierżawny mocarz tych lądów! — on! władca potężny, którego jestem wassalem!... spieszcie! spieszcie!...

A my spieszyliśmy, bo już dnia zostawało nie wiele. Spieszyliśmy, żeby stanąć wcześniej w Odessie — prędzej wypocząć u celu.

Wpół klassyczną, wpół barbarzyńską była ziemia, po której toczył się bieg skwapliwy naszej karawany. Tędy szły hufy zwycięzkie Olgierdów i Witoldów — tu nawał hord tatarskich ulatał — tu skrzypiały arby karanogajów i rozlegały się hasła bojowe jedyssańskiej tłuszczy. Tędy stąpała wielka migracya ludów; wschód się na zachód przelewał. Gdzie ślady Skytów, Sarmatów, Daków, Getów, Alanów, co tędy przeszli? Gdzie potęga Greków, Wenecyanów, Genueńczyków, Tatarów i Turków co tymi brzegi władnęli — handlem i przemysłem je wsławili, zdobyczą się wzbogacili, a w końcu utracili?...

Nie sięgałem ja takiej głębi myślą moją, bo myśl dziecinna naprzód lecieć zwykła — w przeszłość się nie cofa. Obce jej nawet były dzieje kraju tego, co ją tylko swą nowością bawił, sąsiedztwem morza zajmował i łudził; kiedy zawołano: „Odessa! Odessa!“ rzuciłem się do okna powozu i z trwożnym zachwytem patrzyłem — nie na miasto, nie! bom go nie szukał—a na morze, cel moich pragnień i oczekiwań, ideał snów moich i marzeń — na to morze takie straszne w swym gniewie, takie urocze w pokoju, takie wielkie, niezmierne, bez granic! Jużeśmy jechali ulicą. Domy, gmachy publiczne, nasunęły mi się przed oczy — alem je mijał bacznością moją — spojrzeć nie raczyłem, bo mnie widok morza więził, zachwycał, czarował, całe jestestwo moje pochłaniał, od okrążających przedmiotów odrywał!

III.

Leitnant *Skarabelli*. — Kapitan fregaty, *Popondopoło*. — Miczman *Zajcewski*. — Batalia pod Nawarynem. — Admirał angielski *Kodryngton*. — Prowincye południowego zaboru moskiewskiego. — Wzrost handlu Odessy. — Czem była pierwej. — Morze. — Towarzystwo Odesskie. — Konsul *Tom*. — Konsul *De Ribas* — Major *Silvo*. — Jenerał *Witt*. — Przegląd wojsk pod Wozneseńskiem. — Arcyksiążę *Johann*. — Książę *August pruski*. — Książę *M. Leuchtenbergski*. — Basza turecki. — Fety i parady. — Upadek *Witta*.

„Bella cosa far niente!“ zwykł bywało ekskłamować jeden z naszych znajomych, leitnant rossyjskiej marynarki, Skarabelli, człek znakomitego ukształcenia, znakomitszego jeszcze serca, wiodący ród swój od Genueńczyków, co niegdyś całem południowem wybrzeżem Taurydy władnęli. Nie przeczę, że w tem pogrążeniu jestestwa w błogiej sensacyi cielesnego pokoju, w tym epikurejskim komforcie człowieka bez trosk i kłopotow może się mieścić nie mało przyjemnsści, niedopuszczam jednak, żeby ta błogość i ta rozkosz mogły być wyłączną żądzą istoty myślącej, a tem samem powołanej do czynu w zakresie działalności jej stanowisku właściwej. Myśl i uczucia są to bodźce wewnętrzne, nieuznające żadnej przymusowej władzy nad sobą. Nic ich uspić nie zdoła, bo świat zewnętrzny budzi ich co chwila i do ruchu zniewala. Ztąd i moje pojawienie się na literackiej arenie w charakterze kronikarza czasów pasmem lat moich objętych. Nie posiadając twórczej samodzielności nie tworzę ja nic zgoła, jeno przenoszę obrazy przeszłości na nowe płótno, żeby je od zniszczenia ochronić. Trud to niewielki, wszak prawda? A jednak milejby mnie było wyznaję, żyć według przytoczonej eksklamacyi Skarabellego w leniwej błogości italskiego far niente lub tureckiego keif'u, gdyby to coś wiecznie wewnątrz czuwające nie szeptało mi ciągle do ucha: „Rób co umiesz i jak umiesz, ale rób!“ Jąłem się tedy pióra i piszę. Ten sam poczciwy Skarabelli, panegirysta bezczynności i lenistwa, żył w ciągłym z niemi antagonizmie. Czynniejszego nie znałem człowieka. Chwile wolne od zajęć służbowych poświęcał on nie sławionemu przez siebie far niente, lecz wielostronnym pracom naukowym i towarzystwu. Byłem jeszcze smarkaczem 12-letnim, gdy on zstępował już z apogeum młodości ku poważniejszej fazie dojrzałego wieku. Byłem dzieckiem, on był skończonym człowiekiem. Zdawałoby się tedy, że między mną a nim nie mógł istnieć żaden stosunek. Stało się przecież inaczej. Skarabelli nie pogardził smarkaczem, pokochał go, bawił, nauczał, ostrzegał, do wyższych sfer pojęcie i uczucie podnosił lub zajmował ciekawem opowiadaniem o morzach jakie zwiedził, o ich ogromie, potędze, lub wdzięku i malowniczości. Cały dóm nasz przywiązał się sercowie do tego człowieka, pełnego dobroczynnośsi, prostoty i wesela. On służył wtedy na odesskiej brandwacheie, czyli statku strażniczym spełniającym portową kontrolę i policyę. Była to fregata o 30 działach, żaglowa ma się rozumieć, bo nie było wtedy jeszcze mowy o paropływach w rossyjskiej flocie. Kapitanem Skarabellego był niejakiś Popondopoło, grek poważny, czasami jowialny gdy się rozchodził, vrai loup de mer jak mówią Francuzi, bo brak wyższej teoryi nautycznej zastąpił rutyną nabytą długoletniem wałęsaniem się po morzach różnych stref, przed- i zarównikowych. Pomiędzy oficerami jego, codziennie prawie nas odwiedzającymi, poznałem także młodego jeszcze bardzo miczmana, prześlicznej powierzchowności i nader miłego układu. Nazywał się Zajcewski. W pięć lat później imię jego rozbrzmiało się szeroko po Rossyi, z okazyi nawaryńskiego boju, w którym, jak wiadomo, brały udział trzy sprzymierzone floty, rossyjska pod Heidenem, francuska pod de Rigny'm i angielska pod admirałem Kodryngtonem. Rozgrom potęgi morskiej tureckiej był rezultatem tego pamiętnego boju. Okręt, na którym znajdywał się Zajcewski, walczył na skrzydle półsferycznego frontu, najwięcej wystawionem na zawziętość ottomańskiego naporu. Otoczony przez cztery liniowe nieprzyjacielskie statki, z których każdy miotał weń ogniem półsetki armat, rozbity prawie na trzaski, osierocony z dwóch bokowych masztów, z poszarpanymi na szmaty żaglami, odbijał on dzielnie nacisk przemagającej siły, choć się mógł zaledwie sam na wodzie utrzymać. Z licznego ekwipażu kilkunastu tylko ludzi zdrowych zostało. Starsi oficerowie wszyscy polegli. Zajcewski objął z kolei dowództwo. Kazał wtłoczyć do armat podwójne ładunki. Zagrzał dzielnem słowem swoją drobną komendę. Zalecił kanonierom strzelać gęsto i celować w podwodną część okrętów dla zadania im szkodliwszej rany. Poczem wbiegł na szczyt wielkiego masztu, żeby lepiej obejrzeć swą pozycyę i ruch ogólnego manewru floty, zkąd, owiany płomieniem i dymem, kierował działaniem swoich bateryi. Wtem kula karabinowa przeszyła mu prawą rękę, za pomocą której utrzymywał siebie u szczytu. Zajcewski chwycił się liny lewą ręką, nie przestając zagrzewać swoich do mężnego oporu. Znowu świsnęła kula i przebiła mu lewą rękę. Zajcewski skoczył na drabinkę sznurową, usiadł na niej i niebaczny, że z rąk obwisłych krew mu obficie upływa, że rany srodze bolą, dopóty stawił czoło cierpieniu, nie przestając kierować obroną, aż dwa okręty nieprzyjacielskie zatopił, trzeci spalił gra-

natami, a czwarty, wielce uszkodzony, zmusił do ucieczki. Wtedy dopiero, wydawszy okrzyk tryumfu, omdlał w niemocy i spadł bezprzytomny z wysokości szczytu na krwawy pokład wyratowanego przez siebie okrętu.

Admirał Kodryngton (który, jako najstarszy rangą całą batalią kierował) śledził z galeryjki szczytu cały ten bohaterski epizod obrony i zwycięztwa Zajcewskiego. Sam mężny, ocenił zasługę mężnego. Kazał go przywieść na swój okręt, pomieścił wygodnie i najlepszym polecił lekarzom. Pokazało się, że oprócz obu rąk przestrzelonych, miał dwa żebra złamane, nogi zwichnięte i pokaleczone — a w dodatku kontuzyi na ciele od spadnięcia z wysokości, co nie miara. Uwiadomiony o powyższych szczegółach cesarz Mikołaj mianował młodego lejtnanta Zajcewskiego od razu pułkownikiem i kawalerem wojennego krzyża św. Jerzego za waleczność. Oprócz tego kazał mu wydać z kasy państwa 25.000 rubli na podróż za granicę dla poratowania zdrowia. W końcu powierzył Zajcewskiemu zarząd generalnego konsulatu w Palermo, gdzie dla przychylnego klimatu do samej śmierci zostawał. Że był poetą i dobrze pisał dowiedziałem się dopiero z pochwalnej ody jemu poświęconej przez słynnego partyzanta wojen napoleońskich a razem wieszcza bojów i huzarskich bankietów Denisa Wasiliewicza Dawydowa. Będzie i o nim mowa w dalszym ciągu moich wspomnień.

Co do Skarabellego tyle powiem tylko na ten raz, że po tureckiej wojnie 1828 r. wyszedł z morskiej służby i otrzymał posadę przy ministerstwie oświecenia, gdzie pozyskawszy zasłużone uznanie został mianowany rzeczywistym radcą stanu i kuratorem Mohilewskiego naukowego okręgu. Niema wątpliwości, że z tej posady, na której się wzorową gorliwością i umiejętnem urządzeniem szkolnego porządku odznaczał, poszedłby na wyższe hierarchiczne stopnie, gdyby wymagania władzy lekceważącej szlachetność jego natury i nawykłej do absolutnej negacyi każdej moralnej wyższości, nie zmusiły go podać się do dymisyi. Minister polecił Skarabellemu urządzić w swoim okręgu sekretny nadzór policyjny nad sposobem myślenia profesorów i uczniów. Skarabelli odpisał na to ministrowi w ten sposób: „Umiałem być żołnierzem i uczciwym człowiekiem, ale szpiegiem być nie potrafię." Tem zakończył on swoją karyerę. Co się z nim potem stało? niewiem.

Mówiąc o Skarabellim i Zajcewskim wyprzedziłem bieg czasu. Wyszedłem z rubryki lat, jakie opisać zamierzyłem. Cofnę się tedy znowu do r. 1822, który postawiłem na pierwszym planie narracyi.

(C. d. n.)

Goethe i Descartes.

Studyum

przez

Dr. ALFREDA ZGÓRSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Nawet wiara, której potęgę sam Goethe uwydatnił w owym chórze wielkanocnym, nawet wiara, ubrana w sukienkę nauki nie zdołała jej ożywić. Następuje epoka pietyzmu w Niemczech. Była to rozpaczliwa próba pogodzenia rozsądku z teologią, w której wiele już ustępstw musiano uczynić rozsądkowi. Naturalnie, że i teologicznego skeptycyzmu, jaki ogarniał umysły ówczesne, przyczyna była ta sama, co każdego innego skeptycyzmu, Czcze słowa „żadnym nie odpowiadające pojęciom" — oto budulec jedyny ówczesnej nauki teologicznej! Czy jednak słowa nie rodzące w duszy pojęć zdołają trafić do jej wnętrza i przekonania? A może te słowa są przecież jakich pojęć wyrazem? Może one tylko bywają źle rozumiane? Może (i tu wierny obraz dążeń pietystów!) dokładniejsze poznanie źródeł wiary tj. pisma św. obali ten formalizm teologii, natchnie ją życiem?

Ale czas jeszcze będzie odpowiedzieć na te pytania... Powróćmy raczej do skeptycyzmu, który może każdy z nas w życiu przebył, a który był wyrazem społeczeństwa ludzkiego u schyłku XVIII wieku i tak po mistrzowsku odmalowany został pędzlem Goetego.

Czy jednak oprócz niego nie zdołał nikt odtworzyć podobnego wizerunku? czyż nikogo prócz niego nie uderzyło tak niezwykłe zjawisko skeptycyzmu na każdem polu i w każdej dziedzinie ludzkiej myśli? czyż społeczeństwo całe nigdy, oprócz końca XVIII wieku, nie uległo podobnemu obłędowi i nie potrzebowało, by ktoś połączył w jednym obrazie wszystkie rozpierzchłe jego rysy i przeciwstawił go społeczeństwu, jakby rachunek sumienia? Wspomniałem już, że historya się lubi powtarzać — wskazałem na podobieństwo XVI i XVIII wieku, wspomniałem o legendowym Fauście, na tle którego wzniósł się Faust artystycznie przyozdobiony, to zdaje mi się wystarczy, abym na ostatnie zapytanie odpowiedział twierdząco. Ale czyż podanie o Fauście ma być jedynym obrazem, jedynem skrystalizowaniem się duszy społecznej wieku szesnastego? I owszem—pierwszy rozdział Descartowskiego „Discours de la méthode" przedstawia zupełnie pokrewny tamtemu obraz.

Po wstępie do mego studyum spodziewał się zapewne czytelnik, że zacznę od rozbioru dzieła Descartesa. Wolałem jednak zastanowić się naprzód nad Faustem, choćby dla tego, że jest on u ogółu bardziej znanym od „Discours de la méthode," a jako arcydzieło sztuki przemawia silniej do duszy, niż naukowa rozprawa francuskiego filozofa i wydaje się żywszem czasu i myśli odźwierciedleniem. Jednak kto piękność formy na chwilę pominie a zwróci uwagę tylko na wątek rozumowań, ten i na pierwszych kartach „Discours de la méthode" znajdzie prawie to samo, cośmy dotąd we Fauście dostrzegli. A inaczej być nie może! Poeta i filozof ten mają charakter wspólny, że zdołają wniknąć w każdy zakątek ludzkiej duszy i pojmują całość jej bytu, jej myśli, uczuć i pragnień, tylko że jeden szuka tam piękna, drugi prawdy!...

Przejdźmy więc na chwilę do Descartes'a. O stanie umysłów poprzedzającym wystąpienie Descartes'a już wzmiankowałem. Mógłby kto jednak uczynić uwagę, że Descartes pisząc swe dzieło dopiero w r. 1619 *) nie należy już właściwie do XVI stulecia, że z protestem swoim przeciw nauce średniowiecznej znacznie się opóźnił i walczył już tylko z echem ubiegłych czasów. Należy jednak zauważyć, że filozofia jako najwyższa synteza ludzkich dociekań jest zawsze ostatnim wyrazem ducha

*) Czytelnik pragnący bliższych szczegółów, raczy przeczytać „*Histoire de la philosophie cartesienne par Francisque Bouillier.*" Trois. edit. Paris 1868.

każdej epoki, jest jej zamknięciem. Sztuka i nauka od dawna muszą już istnieć w narodzie — musiały go już zaopatrzyć w bardzo znaczny zasób pojęć, zanim filozofia przystąpi do wypowiedzenia swego słowa, łączącego zdobyte pojęcia w jedną, wyższą całość. Filozofia każdego narodu, każdego społeczeństwa i wieku jest ostatecznem *„compte rendu“* jego odrębnych pojęć, jego odrębnych zasobów wiedzy i moralności. Ztąd tylko narody i wieki, mające odrębne życie społeczne i polityczne, odrębną sztukę, odrębną naukę i to na wyższym już stopniu wydoskonalenia, mogą mieć również odrębną filozofię. Cały zatem wiek XVI i poprzedzające pracowały nad wytworzeniem owych czynników, które dopiero u schyłku wieku XVIgo lub na początku następnego utworzyć mogły nową filozofię. Część zaś krytyczna tej filozofii, jak każdej innej, odnosić się zawsze musi do przeszłości, do epoki przebytej, która dostarcza właśnie przedmiotu dla krytyki. Skeptycyzm więc Descartes'a jest płodem XVI wieku. Ten zatem tylko, kto zdoła pojąć ducha tego wieku, zrozumie i oceni przewodnią myśl i genezę książki Descartes'a. Filozof ten wychowany podług starego systemu u Jezuitów w *„collége de La Fléche,“* kędy nie dotarły odgłosy nowego postępu nauk, gdzie umysłów, jak Galilei, nie uznawano i owszem okrywano stygmatem potępienia, członek rodziny arystokratycznej i zachowawczych usposobień, głęboko jeszcze tkwił myślą w duchu czasów średniowiecznych, kiedy opuścił szkoły i rozpoczął kolej życia dziwną, ruchliwą, niemal awanturniczą Lecz duch jego sprężysty, zwrócony ku poglądom rzeczywistym na życie, w bliższem zetknięciu z niem poznał szybko — jak sam wyznaje — że nauka, której się przysłuchał, bynajmniej nie zrodziła w nim jasnego na świat i życie poglądu.

Descartes, jak Faust na wstępie swego sławnego monologu, wyznaje, że oddawał się wszelkiej nauce, jaką znały ówczesne szkoły, że wszelkie osiągnął zaszczyty, jakimi wynagradza nauka służbę około niej, że pracą dorównać zdoła tym nawet, „którzy nauczycielami stać się mieli późniejszych generacyi.“ Tak samo Faust w chwili swego najwyższego skeptycyzmu od lat już dziesięciu był profesorem. Mimo to jednak tak Descartes jak Faust, wpatrzywszy się głębiej w stan własnej duszy, zastanowiwszy się nad owocami tylu poszukiwań, przerażają się sami przed ogromem wątpliwości, jakie w nich powstają. A zkąd to czerpał Descartes swoją wiedzę? Jak Faust, jak wiek XVIII jedynie z książki, jedynie z uczonego traktatu. Czytał i gorączkowo pochłaniał stosy papieru, ale nie patrzał na świat okiem zwykłego a zdrowego rozsądku (*„le bon sens ou la raison, (qui) est naturellement égale en tous les hommes.“*) Dlatego owocem tej pracy było jak u Fausta to tylko, że „o niewiadomości swej coraz więcej się przekonywał.“

W nauce historyi nie widział prawdy dziejowej, ale jednostronne poglądy i uprzedzenia historyków, a nawet piękny język, nawet forma gładka i szczytna w poezyi i nauce nie czyniły nań wrażenia, bo pod suknią formy nie czuć było oddechu prawdy. *„Encore qu' il ne parlasse, que bas-breton,“* byle myśl była zdrową, jasną i głęboką. Czyż nie czuje tu każdy podobieństwa do sławnego wyrzeczenia Sokratesowego, „iż w tem, co wiemy, dosyć jesteśmy wymownymi?“ czyż nie widzi tu każdy tej samej prawdy, którą wyraził Goethe w dyalogu Fausta z Wagnerem o dyalektyce ówczesnych uczonych?

Nawet owa nauka, która powinna być sternikiem myśli, nawet logika, jak ją w spuściźnie wieki średnie przekazały Descartesowi, zawierała aż nadto wiele gry słów, w rodzaju owych sztuczek Lulla,*) które nie uwzględniały, że duch żyje i odświeża się ciągle niepodobny w niczem do martwego mechanizmu. Zarzuca Descartes logice ówczesnej, iż zajmuje się zbytecznie nieprzydatnemi dla jej celów dociekaniami—a tego, co do jej zakresu należy bynajmniej wytłumaczyć nie umie. Jeśli jednak tak potępił logikę, tę najpozytywniejszą gałęź filozofii, to cóż dopiero mógł powiedzieć o innych jej działach, w których każdy system inną wskazywać chciał prawdę? A przecież tylko jedną jest prawda — za którymże więc iść systemem, aby raz do niej dotrzeć?

A skoro filozofia nie ręczy za pewność swoich podstaw, to gdzież jej szukać w umiejętnościach, które się na niej dopiero budują? Może duch ludzki ku boskim zwrócony rzeczom prędzej dotrze do prawdy? Może w religii tkwi ostatnie jej słowo? Takie zadano sobie już dawno pytanie i stworzono teologię, naukę, która ubierała wiarę prostaczków w togę naukową. Descartes poznał teologię, ale i w niej nie znalazł rozwikłania zagadek bytu. Tak bowiem mało widział w teologii ducha pierwotnej wiary, tak mało widział rzetelnego pożytku dla potrzeb duszy ludzkiej w tem rozmyślnem gmatwaniu prawd o tyle jasnych, o ile wielkich, że ogólna jego niechęć ku takiej nauce jeszcze się bez miary pomnożyła. Moralność, ów kwiat i cel wszelakiej religii wcale nie zyskał na takiem nadaniu jej umiejętnego pozoru. Życie przedstawiało mu najrozmaitsze pojęcia o moralności, najsprzeczniejsze zasady obyczajowe, nie dające się wysnuć z żadnego prawidła etycznego, mającego ogólne uznanie. I owszem w etyce różnych narodów i czasów najdziwniejsze spotykał kontrasty pojęć. Nawet w zasadach klasycznej etyki ten sam dostrzegał błąd zasadniczy, co w każdej innej nauce pomniejszej, boć i one troszczyły się więcej o oderwane definicye cnoty i piękna moralnego, niżeli o wskazanie drogi, jak moralność zastosować należy w życiu. (C. d. n.)

*) Ramon *Lull*, rycerz katolicki ur. 1235 r., wynalazł maszynę mechaniczną, za pomocą której chciał do dna wszelkiej dotrzeć prawdy.

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE

anegdota dramatyczna w 3. aktach

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Scena VI.

CIŻ, BASIA (*wpada zadyszana*).

KSIĄŻE. (*spostrzegłszy ją*) Tylko nam tu, panie kochanku, baby brakło...

BASIA. (*do księcia*) Mości Książe — a czyż to się godzi, na własnej ziemi, w gospodzie?

KSIĄŻE. A cóż asińdźka chcesz, panie kochanku— ja zostałem wyzwany, on mi despekt wyrządził.

AASIA. Mój ojciec?

KSIĄŻE. (*na stronie*) Ojciec taki szpetuy, a córeczka taka ładna!

BASIA. Mój ojciec, Mości Książe, to być nie może, ojciec mój nigdy nikomu w życiu słowa nie powiedział, a mógłżeby Księciu, którego wszyscy znamy tylko z jego dobrych czynów, coś niemiłego rzec?

CHORĄŻY. Tylkoż ty sroczko... fora ztąd!... oto mi adwokat nieproszony...

KSIĄŻE. (*na stronie*) I ładna i niczego w gębie...

BASIA. Ja się domyślam, o co pójść mogło—ojciec mój zajechał tu wprzódy—trudnoć mu było dać się arendarzowi wygnać — przecież w książęcej gospodzie dla wszystkich miejsca dosyć. Mości Książe?

KSIĄŻE. Ale dalipan, panie kochanku, moja panienko, jam niewinien...

CHORĄŻY. Nie zaczepiam nikogo, nie ustąpię nikomu.

BASIA. (*zasłaniając sobą ojca*) Mości Książe... tyś szlachetny i dobry...

KSIĄŻE. (*chowa szablę*) Ale bądź waćpanna spokojna, nikt się przy płci białej nie rąbie... Nie tu, to tam, panie kochanku, jakoś Pan Bóg da, że się zobaczymy...

BASIA. A gdy książe go poznasz lepiej, to mu podasz dłoń.

KSIĄŻE. Coś mi się nie widzi!

CHORĄŻY. (*chowając szablę*) Tak Mości Książe... Góra z górą się nie zejdzie, ale ludzie...

KSIĄŻE. (*markotno do dworu*) Na koń! na koń! znajdziemy przecież gdzieś popaść... stara to szkolna maksyma... Kto komu ustąpi, panie kochanku... (*Idzie ku drzwiom, odwraca się i mówi*) Do widzenia, Kniaziu!

CHORĄŻY. Do widzenia, Wojewodo!

KSIĄŻE. Spotkamy się.

CHORĄŻY. Do usług....

KSIĄŻE. Czołem...

CHORĄŻY. (*ręka w bok, dłubiąc w zębach*) Czołem... (*Po wyjściu Księcia Chorąży w ślad idzie za nim i wychodzi za drzwi.*)

DYPLOWICZ (*wysuwa się za nim*).

BASIA (*sama, padając na ławę przy stole*). O mój Boże! To cud twej łaski! Ocaliłam ojca... ale moje nadzieje... on... w liberyi?... wszystko stracone!... Klasztor mi został tylko. Ojciec nie dopuści go na próg swojego domu... a jam cudu nie warta! Biedny Józef... Na wieki... (*zasłania oczy*).

Scena VII.

BASIA, SZCZUKA (*wpada drzwiami od sieni i staje przed nią*).

SZCZUKA. Panno Barbaro! słowo jedno, spojrzenie... słówko otuchy i nadziei.

BASIA. A! to wy! Nadziei? nie mam jej sama... stracone wszystko... Uciekaj pan, bo gdy ojciec was tu zobaczy...

SZCZUKA. Nie przyjdzie... będzie stał, póki księcia na gościńcu dojrzy... Pozwól mi pani rzec dwa słowa...

BASIA. Tak chyba ostatnie, bo się już więcej nie zobaczymy w życiu...

SZCZUKA. Ja mam nadzieję.

BASIA. Ja — żadnej. Nie znasz pan ojca mojego, teraz gdy was widział na dworze księcia... dom nasz zamknięty dla was.

SZCZUKA. Miłość go moja otworzy, byleś mi Pani sprzyjała...

BASIA. Co ja mogę? chyba się we łzy rozpłynąć.

SZCZUKA. Pani—zostaw mi serce tylko, do mnie należy stworzyć przyszłość. Ja ich pojednam, ja zbliżę, ja pogodzę... poruszę wszystko, dam życie...

BASIA. A i życie?...

SZCZUKA. Tak! życie dla was... jeśli będzie trzeba — bo bez was i ja bym żyć nie potrafił. Wierz mi pani, kto kocha, ten najstraszniejsze zwycięży przeszkody...

BASIA. (*Podaje mu rękę, którą Szczuka całuje — w tej chwili wchodzi Chorąży i zobaczywszy Szczukę, woła)*

Scena VIII.

BASIA (*ucieka do alkierza*), CHORĄŻY, SZCZUKA.

CHORĄŻY. Hola, panie kawalerze, hola! Co mi tam waść tak się kręcisz koło mojej córki?... Ruszaj do Radziwiłłowskich respektowych panien — tam dla ciebie stosowniejsze towarzystwo... Słyszysz panie Koniuszy, proszę mi nie wchodzić w drogę. Ja tego nie lubię. Koło Basi mi się nie kręć, bo to nie dla Waszeci, nie, nie i po sto razy nie!

SZCZUKA. Panie Chorąży dobrodzieju, chciej być dla mnie łaskawszym, nie zawiniłem przecie, żem się do Księcia Wojewody zbliżył, bom mu koligatem i krewnym.

CHORĄŻY. No, na zdrowie! ja Szczukę tylko na półmisku znam, a w domu mi cuchnie. (*woła*) Basiu! jedziemy. (*do Szczuki*) Proszę to sobie z głowy wybić... proszę... obliguję i radzę... (*Basia wychodzi ubrana, Chorąży nie dając się jej nawet pożegnać, wskazuje drogę do drzwi i sam idzie za nią. Odwraca się w progu i mówi do Szczuki*) Do nóg upadam pana Koniuszego.

SZCZUKA (*kłania się nisko w milczeniu i odchodzi*).

Scena IX.

DYPLOWICZ (*sam*).

Trzeba zdążać za nimi... Człowiek musi pracować... Żeby mi się tylko ta Wulka nie wymknęła... bo Kurcewicz ją sprzedać musi... Postawię świecę funtową przed P. Jezusem, gdy się spełni moje najgoretsze życzenie... Wulka musi być moją. Nie dam jej nikomu. Chorąży już bokami robi... bankrut... w spiżarni wszyscy z głodu zdychają... Wulka musi być moją. Panie Boże ty widzisz serce moje, jam w tobie położył nadzieję! Ty dopomóż! Dam srebrne wotum... Klnę się, że dam... do słuckiej fary!...

Koniec aktu Igo.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

Życie Hieronima Savonaroli, epizod z dziejów Florencyi opowiedziany przez Klemensa Kanteckiego. Poznań i Lwów. F. H. Richter. 1872.

Wiek nasz jest na polu dziejopisarstwa wiekiem powszechnej rehabilitacyi. Cały szereg dałby się wykazać postaci dziejowych, które, przeszedłszy przez świat, wielki wpływ na jego stosunki wywarły a od współżyjących zostały potępionemi chyba na to, aby zatrzymać na czas jakiś sprawiedliwość historyi, przekazując jednak czasom późniejszym miły i zaszczytny obowiązek zrehabilitowania ich dobrej sławy. O ile jest naturalnem, że zjawisko

takiego zapoznawania wybitnych postaci i fałszywy sąd o nich musi się ciągle powtarzać, o tyle znów da się pojąć, czemu to właśnie wiek nasz dopiero okazał się dosyć dojrzałym do takiego uzacnienia krytyki historycznej. Społeczeństwo każde bywa w swym zbiorowym ogóle zwykle miernem, rozumie tylko chwilę bieżącą, ducha swego czasu. Wszelki więc silniejszy wyraz myśli, zaczerpnięty już nie z obecnej chwili, ale wykradziony duchowi przyszłych pojęć, uderza mierną rzeszę podziwem bo ta go nie rozumie, przejmuje strachem, bo ta w nim przeczuwa wywrót stosunków obecnych, budzi nienawiść, bo konserwatyzm jest na dnie każdego społeczeństwa. Wiek nasz dopiero nabrał pewnego junactwa. Niczego, co powstaje w sferze myśli, nie obawia się, bo ma wyborną broń na pokonanie wszystkiego, co niezdrowe i szkodliwe dla społeczeństwa — myśli przeciwstawia myśl, podczas gdy dawne czasy na swobodę przekonań i wolność sumienia, znachodziły jedyne wędzidła w torturach i lochu więzień. Nikt dziś nie jest zmuszonym entuzyazmować się dla osoby czy idei z innego obozu —wspólność zasad grupuje społeczność w pewne koła, mające swoich proroków, swe uwielbiane książki, swe głoszone swobodnie zasady. I w tej swobodzie leży przyczyna ogólnego dziś prądu ku rehabilitacyi osób historycznych, które upadły właśnie pod zamachem wyłączności sądu.

Dnia 21. Września 1452 r. urodził się w Ferrarze jeden właśnie z takich ludzi, niezrozumianych przez swój czas i potępionych za przestępstwa, których się zgoła nie dopuścił. Hieronim Savonarola został wyklętym przez papieża Aleksandra VI i spalonym na stosie (d. 23. Maja 1498) jako kacerz burzący jedność kościoła, uległ oszczerstwom własnych rodaków, jak Nicolo Scarpiono, był tak dalece niezrozumianym, że niedawno jeszcze na kolumnie Lutra w Wormacyi pomieszczono go w rzędzie protestanckich reformatorów, a przecież on nie był ani przez chwilę reformatorem dogmatycznym. Był on tylko umysłem czystym jak kryształ, w pobożności posuniętym do ascetyzmu, w czystości obyczajów do kresu wymagań natury ludzkiej—a postawionym w społeczeństwie obyczajowo i religijnie rozprężonem, w którem od góry do dołu, od spodlonego tronu Borgiów i błyskotliwej świetności Medyceuszów aż do hołoty ulicznej panowały „bezbożność, symonia, pogarda praw, zbytek, zniewieścialość i bezwstyd.“ Tylko więc moralistą był Savonarola, nie reformatorem, bo że się nosił z myślą detronizacyi Aleksandra VI, było naturalnym objawem rozpoczętej przezeń krucyaty przeciw niesłychanej, wszelki człowieczy instynkt moralny oburzającej demoralizacyi ówczesnego duchowieństwa. Nowe studya umieściły Savonarolę w nowem świetle, postać jego wydaje się teraz mniej potężną, ale szlachetniejszą. Nie zrodził on żadnej wprawdzie myśli gruntownego przeobrażenia kościoła, nie był więc Janem Chrzcicielem Lutra, ale jako porywający i nieugięty apostoł uobyczajenia, jako nielitościwy krytyk z ambony zbydlęconego społeczeństwa, jest na tle XV wieku zjawiskiem wzniosłem i typowem. Zawiewa tu już trochę powietrza z wieku reformacyi, ale to jeszcze nie ona. Papież Aleksander VI nasyła do Florencyi, gdzie kazał potężny mnich św. Dominika, swoich legatów (Ludwika z Ferrary), którzy przez trzy dni dysputują z Hieronimem, aby go odwieść od krucyaty przeciw papieżowi i duchowieństwu, a gdy namowy nie odnoszą skutku, ofiarują mu arcybiskupstwo Florenckie — przeciwstawia papież zakonowi Dominikanów, którzy ulegli wpływowi swego przeora, inny zakon św. Augustyna w osobie namiętnego i mściwego braciszka Mariano di Ghinazzano — zwołują nawet areopag duchowny ze wszystkich uczonych, doktorów teologii, kanoników i prałatów Florencyi, przed którym każą Savonaroli odpowiadać na zadane mu pytania. Przypomina to wszystko dysputy teologiczne XVI wieku, ale należy dobrze odróżniać to ciągle, że Savonaroli nie chodziło nigdy o przeistoczenie kościoła, a tylko o poprawę obyczajów u duchowieństwa i świeckich. Dlatego to postać Savonaroli powinna być drogą nie tylko dla ludzi witających w historyi z radością każdy objaw swobodnej, postępowej myśli, ale nawet dla umysłów najszczerzej katolickich a znających sztukę odłączania dogmatu od życia jego apostołów. Przeciw dogmatowi katolickiemu nie powiedział jednego słowa Savonarola, przeciwko formom hierarchicznym walczył—aż do stosu, na którym spłonął.

Tu leży wielka zasługa p. Kanteckiego, że przyswoił publiczności naszej tę niezwykłą postać z XV wieku wychodząc tem po za szczupły zakres naszej historyografii, która, mając na oku położenie narodowe Polski, dotychczas prawie wyłącznie zajmowała się przedmiotami z własnych dziejów. Monografia p. K. nie ma wprawdzie zamiaru przedsiębrania nowych źródłowych badań nad epoką Savonaroli i jego osobą, ale w tem już leży wielka jej zasługa, że użyła za materyał wszystkiego, co dotychczas o Savonaroli napisano, ustrzegłszy się tem płytkości; że przedstawiła w obrazie barwnym, wyrazistym i ożywionym, w języku pełnym szlachetnego zapału i czystym pod względem formy, tak czas ten ciekawy i burzliwy, jak samą postać Hieronima, że wreszcie postawiła jasno kwestyę, czy Savonarola był katolikiem, czy reformatorem? Bezwątpienia różnica ta jest subtelną i w gruncie rzeczy nie zmienia natury sądu o nim, bo Savonarola należy przedewszystkiem do całej ludzkości, jako umysł rzadkich zalet i rzadkiego polotu, to jednak, kiedy już chodzi niektórym o kwestyę wyznania, powinna być i w tym kierunku rzecz rozstrzygniętą i ustaloną.

Zdaje nam się, że p. Kantecki byłby powołanym do przedstawienia w podobnym obrazie i innych charakterów dziejowych, zapoznanych przez stronniczą lub płytką historyografię. Byłby to przedmiot równie poważny, jak ważny w skutkach.

Z.

KORESPONDENCYE.

Poznań, 13. Lutego.

(K.) Trudno mi będzie zaprawdę w szczupłym zakresie korespondencyi obejmować to wszystko, o czemby z naszego życia literackiego i artystycznego donosić należało. Bogactwo materyału pochodzi naprzód z pory roku, w której zwykle najwięcej objawia się ruchu i życia, powtóre z nagłego wzrostu jaki się rozwinął na polu piśmiennictwa i sztuk pięknych w stolicy Wielkopolski. I tak przed niewielu jeszcze laty nie spotkałeś w starym grodzie Przemysława żadnego pojawu artystycznego — literatura zaś peryodyczna ograniczała się na jednem politycznem, jednem kościelnem i jednem gospodarczem piśmie. Od tego czasu jakże wielka, śmiało powiedzmy, zdumiewająca odmiana! Jakiś świeży wietrzyk powiał na wielkopolskie niwy — rozbudził ich ludność ze słodkiej drzemki bezczynności, z marzeń o niebieskich migdałach i sztucznych nawozach — wlał w nich nieco energii i zaufania w przyszłość, natchnął płodnymi w nieobliczone

dziś jeszcze następstwa pomysłami i do wykonania przedsięwzięć dodał potrzebnej wytrwałości. I oto już dziś mamy własny teatr, za którym tęsknilismy od lat tylu, mamy trzy dzienniki polityczne a jedno pismo literackie, miewamy choć tylko czasami i na skromną miarę urządzane wystawy obrazów (przeszłej zimy za inicyatywą Towarzystwa młodych przemysłowców, obecnie p. Tytusa Maleszewskiego), miewamy koncerty miejscowych i zagranicznych artystów, Towarzystwo muzyczne i t. d. Mógłby mnie kto po odczytaniu tych słów posądzić o optymizm — zapewniam jednak, żem od niego daleki; nie przeceniam bynajmniej uczynionego postępu, uznaję sam jego ujemne strony, lecz sądzę również, że nasi *par excellence* pesymiści z fałszywego stanowiska na rzecz się zapatrują, nie mając prawa wymagać zupełnej doskonałości od wchodzących dopiero w życie instytucyi. I tak teatr pod kierownictwem p. Stan. Dobrzańskiego, nie zaspokoił jeszcze wszystkich wymagań sztuki, ale uwzględnić należy jego wyjątkowe położenie — brak własnego gmachu, w skutek czego musi opłacać niemieckiemu dyrektorowi znaczny haracz, szczupłą liczbę publiczności, mogącej uczęszczać do teatru i ztąd płynący brak zasobów materyalnych. Pomimo tak wielkich przeszkód wywiązuje się scena poznańska ze swego zadania wcale odpowiednio — ale naszą wybredną publiczność złożoną z Arystarchów jakżeż zaspokoić nie łatwo. Wmówiono w siebie, że prowincyonalna scena poznańska, ograniczona na własne siły i dwudziestotysięczną ludność polską, z której tylko bardzo mała część popiera wzrost sztuki dramatycznej, powinna stanąć co najmniej na równi z teatrem warszawskim, i z tego punktu widzenia roszczą sobie zarówno dziwne jak nieuzasadnione żądania. Krytyka teatralna, zamiast być łącznikiem pomiędzy sceną a publicznością, zamiast miarkować rozumnem słowem niesłuszne wymagania ostatniej a światłą radą dopomagać pierwszej — głosem swoim bez umiarkowania i koniecznej pobłażliwości, towarzyszy nieraz sądom lekkomyślnym ludzi nieumiejących ocenić położenia. I tak był czas, że dyrekcya grywała po większej części utwory lekkie, jednodniowe operetki i komedye — krytyka surowo zganiła ten płaski kierunek; dyrekcya więc powolna życzeniom krytyki zaczęła przedstawiać rzeczy poważne, dramaty i tragedye Słowackiego, Szylera, Szekspira — ale i tem niezadowoleni Zoile, sami straciwszy miarę swych żądań, napierać znów poczynają na porzucenie sztuki poważnej... Pani Wolańskiej, mającej organ dźwięczny i silny, którym włada pięknie i rozumnie, zbyt mało tylko cieniując niektóre przejścia i przybierając ton niekiedy nazbyt płaczliwy, zarzucono brak fizycznej siły w głosie; pani Wolańska przeto chcąc dowieść, jak błędnym jest taki zarzut, w roli Julii (Szekspira) tak potężnych i gwałtownych dobywała tonów, że niektóre osoby dla zaoszczędzenia nerwów przed ukończeniem sztuki powychodziły z teatru. I oto błędne koło...

W bieżącym roku więcej niż kiedykolwiek uczyniono w Poznaniu dla ubogich, urządzając na cele dobroczynne, składki, wenty, koncerty i publiczne odczyty. Z pomiędzy ostatnich odznaczała się szczególną wartością rzecz pana Maleszewskiego: „O pięknie i o A. Grottgerze“. Prelegent opanował wszechstronnie swój przedmiot, opracowawszy go gruntownie i zajmująco.

P. Maleszewski urządził na tenże sam cel wystawę z kilkudziesięciu swoich i kilku obcych obrazów. Z pomiędzy drugich uderza w oko i wiąże na długi czas uwagę widza szczęśliwą kompozycyą odznaczający się obraz pędzla sławnego Gericault'a, z pomiędzy pierwszych zaś wyborne portrety olejne. Pastele czarne najliczniej reprezentowane uderzają wykończeniem szczegółów, pastele zaś kolorowe, malowane z natury, acz świetnemi barwy nęcą wzrok, rażą jednak monotonią i brakiem oryginalnej twórczości.

Wracając do odczytów, nadmienić winienem, że prócz urządzanych przez Towarzystwo św. Wincentego à Paulo, o których mówiłem, odbywają się również odczyty w założonem niedawno przez pułkownika Edm. Calliera Towarzystwie polskiem. Z pomiędzy miewanych tam prelekcyi zwróciły uwagę powszechną Jana Bronikowskiego: „O żelazie“ i Dr. Jarnatowskiego: „O ruchu mięśni“.

W przeciągu ostatnich dni kilkunastu mógł Poznań zadowolić najwybredniejszego znawcę muzyki — bo w tak krótkim czasie mieliśmy koncerty kilku znakomitych artystów. Bach należy do rzędu fortepianistów utalentowanych z wyrobioną techniką, ale bez głębszego uczucia i zrozumienia; Hans Buelow to znakomitość powszechnie oceniona; Josephy, uczeń Tausiga, mimo młodego wieku podnosi się już nad poziom zwykłości, posiada wysoko ukształconą technikę, delikatne poczucie muzyczne i niekłamany zapał; Wieniawskiego zna już publiczność całej Polski. Niepospolite zdolności upatrujemy w młodym fortepianiście, p. Robercie Beckerze, Polaku z Warszawy. Wszystkie utwory położone w programie jego koncertu wykonał z równą precyzyą i odrębnem pojęciem natury każdego. Szumana dzika melancholia, Liszta heroiczna werwa, Szopena delikatna uczuciowość, znalazły w Beckerze wykonawcę rzadkiej sumienności i rzetelnego talentu. Ton jego silny i wyrazisty w produkcyach Szumana, stał się miękkim i subtelnym w Szopenie. Jeśli pan Becker nie używa ani przez chwilę olśniewających efektów, to przecież im go się dłużej slucha, tem gra jego dla swej prostoty wydaje się powabniejszą. Pannie Bogusławskiej, młodej śpiewaczce koncertowej z Warszawy, wróżymy również dobrą przyszłość. Posiada ona głos dźwięczny, mezzosopranowy, i wiele poezyi w wykonaniu.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(„*Renegat*,“ dramat w pięciu aktach Henryka hr. Łączyńskiego, przedstawiony na scenie lwowskiej po raz pierwszy d. 9. b. m.)

Pisząc to, w bardzo trudnem czuję się położeniu. Sąd o najnowszym utworze pana Ł. wypadł u ogółu dosyć zgodnie, a jednak bardzo rozmaite i wręcz sprzeczne obrano formy na jego wypowiedzenie. Mówiono: ta sztuka uchyla się z pod krytyki, należy ją brać, jak jest — bez zastrzeżeń i wątpliwości, bo jest sztuką zacnie napisaną i obudza patryotyczny zapał. Inni natomiast sądzili: nie czyni krytyka przysługi autorowi dramatycznemu, chcącemu usłyszyć bezstronny sąd o swej sztuce, jeżeli dla zacności tendencyi uchyla się zupełnie od głębszego jej rozbioru i pobłażliwym uśmiechem politowania przyjmuje utwór słaby, z pozorną względnością dlatego, że jest poczciwym. Taki *succès d' estime* bywa dla pisarza dramatycznego zabójczym, bo niema w nim hołdu a jest tylko protekcyjność obłudnych Arystarchów. Dwie są niekorzyści w takiem postępowaniu krytyki: autora mającego iskrę talentu nie oświeca się o słabych jego stronach, nie wskazuje mu się wad i nie

daje tem pola do zastanowienia nad samym sobą, do skutecznej poprawy. A potrzeba być przecież szczerym!.. Druga jednak ważniejsza jeszcze szkoda płynie ztąd dla literatury samej i teatru. Brak szczerości u krytyków i w ogóle u ludzi powołanych do sądu, owe pobłażliwe przyjmowanie sztuk zacnych a niemających głębszej wartości prócz patryotycznego wykrzyknika, rozplenia na niwie poezyi dramatycznej ziele, ani nie piękne, ani nie wonne, ani nie żywotne. Należy się surowo liczyć pomiędzy sobą, bo miernością już nas żywiono do przesytu a takie względy krytyki mogą tylko wypiastować pojawy nowych mierności. Wyrzekamy na realizm czasu — a no, któż winien, jeżeli sami idealne pojawy umysłu dyskredytujemy, nie ujmując się za interesami wyższego piękna, pozwalając przed naszem okiem przesuwać się obrazom z tego niby pięknego świata, w których jednak niema ani jego barw, ani jego wzniosłości, ani żadnych promieni idących od ducha, coby mogly poruszyć, zawładnąć umysłem i wyobraźnią, przejąć je podziwem a potem do wyższego poprowadzić uzacnienia. Sądząc że w krytyce sentymentalizm jest niepłodnym a szczerość powinna być jej podstawą, pragniemy wyrządzić przysługę autorowi „Renegata", pozwalając sobie rozpatrzeć się bliżej w jego sztuce, zamiast jak inni powiedzieć: słabe to, ale zacne — *Sit, ut est.*

Tło tego dramatu ma zakrój historyczny, bo osnute jest na epoce powstania Listopadowego i wprowadza nawet osoby rzeczywiste na scenę, chociaż z częściową metamorfozą nazwisk. Kasztelanowa Żmińska (pani Linkowska) żeni swego jedynego syna Stanisława (p. Szymański) ucznia szkoły podchorążych, z ubogą, ale zacnego domu szlacheckiego córką, Heleną Dąbrowianką (panna Deryng), która jednak gdzieś dawniej za granicą wznieciła już gorące afekta ku sobie w sercu młodego Zenona (p. Leszczyński), syna wiceprezydenta Warszawy Lutowidzkiego (p. Królikowski), służącego rządowi na pół z dobrej wiary, że utworzeniem przymierza słabych ze silnymi zasłuży się dobrze ojczyźnie, na pół zaś z płaskiego pragnienia godności i orderów. W chwili, gdy ma się właśnie odbyć cichy ślub Heleny z Kasztelanicem, wdziera się do kaplicy domowej wzgardzony kochanek, Zenon i chcąc zniszczyć marzony ideał młodej pary a zarazem szatańsko czy też policyjnie na Helenie się zemścić, zabiera do więzienia Stanisława wraz z sędziwym jej ojcem i drużbami, także ze szkoły podchorążych — a to wszystko pod pozorem, że należą do tajnego sprzysiężenia.

Ale sumienie jest orzechem twardym do zgryzienia nawet dla charakterów tak podłych jak u Zenona — więc następuje skrucha, scena zerwania z ojcem i wzniosłe postanowienie — dla expiacyi zbrodni, która o śmierć przyprawiła kasztelanowę — rzucenia się samemu w odmęt przygotowanego już powstania. Przy ataku na Belweder, Zenon pochwycony dostaje się pod śledztwo własnego ojca, który przebywszy w sobie ciężką walkę serca z obowiązkiem odsyła go wreszcie do więzienia. Tymczasem walka uliczna się rozgrzewa — wiceprezydent wchodzi w sprzeczkę z jednym ze swoich podwładnych urzędników, który w chwili powszechnego wybuchu czując zgryzoty sumienia, że był wykonawcą tylu gwałtów Lutowidzkiego, wypowiada mu służbę — Lutowidzki strzela do niego z pistoletu, ale kula trafia w serce własnego syna, który się tymczasem oswobodził z turmy. Ojciec, podwójny teraz zbrodniarz w obec potarganych ogniw z rodziną i narodem, pod ciężarem rozpaczy umiera także, a owa para ślubna, Helena i Stanisław odnajduje się nawzajem i łączy.

Oto treść dramatu. Czy są w nim pomysły oryginalne, czy znać tu gdzie wyobraźnię samorodną, czy nie powtarza się tu raczej ta odwieczna historya zdradzonej miłości, zemsty i poświęcenia dla pokuty?.. A rzeczy stanęły dziś doprawdy u tego kresu, że w obec tak niesłychanego już wyczerpania wszystkich motywów poetycznych, gdy się znajdziemy w obec utworu nowego, z gorączkową skwapliwością pragniemy świeżych pomysłów i natenczas przebaczamy nawet chętnie wady kompozycyi... Ale na nowo powtórzyć raz jeszcze melodyę przespiewaną przez tyle już wprawniejszych a czasem nawet prawdziwie słowiczych gardziołek — to nie jest ani potrzebnem, ani wzruszającem. Powiecie — jest u p. Ł. pewna nowość w podłożeniu tła dziejowego i to tak sympatycznego, pod myśl jak świat wprawdzie starą. Ale też właśnie jedną z wad tego dramatu jest brak głębszego ujęcia tła historycznego, a ztąd fałszywa pozycya tych postaci, które miały wyrość z natchnionych chwil przedlistopadowych miały być na wskróś ubarwionemi kolorytem tej epoki, a tymczasem ckliwą bladością swych charakterów mogą równie posłużyć każdej idei, każdemu społeczeństwu, każdej dobie historycznej, tylko ze zmianą pewnych frazesów. Nie w tem szukać tła historycznego, że się wprowadzi na scenę podchorążych i kosynierów — to efekt czysto zewnętrzny; nie sukmany i kosy wydobyć się powinno z historyi, ale charaktery, opinie, namiętności, które w każdej chwili dziejowej odrębnych nabierają znamion. P. Ł. zna dobrze system fiskalny ks. Lubeckiego i o ciężkich podatkach przezeń nakładanych na każdą warstwę społeczeństwa wiele w sztuce słyszymy — i z ust każdych — ale to jedyna cecha wieku, jedyny archaizm tych postaci. Brak więc głębszej charakterystyki wieje z każdej sceny dramatu, a gdzie ją znajdziemy, tam jest błędną lub wstrętną! Dla przykładu weźmy Zenona. Wszystkie promienie heroizmu zlane są na tę postać tak niby wzniosłą, tak kończącą tragicznie!.. Ale w jakichże sprzecznościach gubi się ten charakter! Do kogoż to mamy w biegu sztuki uczuć sympatyę, interes, szacunek zbliżony do uwielbienia? Dla policyjnego denuncyanta z pierwszego aktu, który jest tak płasko nikczemnym, że koniecznie pragnie się wedrzeć do serca kobiety, systematycznie go odtrącającej, a gdy nie może wymusić miłości, sprowadza policyę. Czy ten człowiek, pozujący później na bohatera tragicznego nie stanął w pierwszym akcie poniżej wszelkiego poziomu moralnego, poniżej godności i najzwyklejszego poczucia honoru? Wzniosłość nie graniczy tak znowu blizko z instynktami gminnymi a robić takie skoki psychologiczne, to nie znaczy znać ludzką duszę, to nie znaczy znać warunki prawdziwego piękna... W podłości musi zawsze leżyć pewna jeszcze wzniosłość, inaczej sztuka zginęła, a sympatya widzów zastrzega się przeciw takim bohaterom... W ogóle zaś wadą postaci kreślonych przez pana Ł. jest pewna za nadto wielka szczerość w wypowiadaniu przez nich samych ostatniego słowa swego bytu, w odsłanianiu bez żadnej dyalektyki całej istoty własnej przed samym sobą i przed widzami. Takie grzanie się na słońcu własnej hańby lub zacności, takie nazywanie siebie po imieniu, przypomina ową farsę rzemieślników w „Śnie nocy letniej" Szekspira, gdzie każdy kolejno biorący w niej udział zapowiada się: jestem księżycem, jestem ścianą!.. W takiem bezpośredniem obnażaniu się ginie subtelność charakterystyki i wszelki powab dla widzów dobadywania się samemu istoty tych charakterów, tajemnicy ich bytu!.. Przyznajemy, że dla widzów leniwych praca myśli tem się ułatwia, ale kto chce głębszych zagadek w sztuce, tego wyobraźnia musi tu próżnować, więc się nudzi. A to tem

bardziej, gdy panu Ł. zbywa na umiejętności wywoływania prawdziwych efektów dramatycznych; sceny, w których najodpowiedniejsze byłoby pole do rozwinięcia siły w charakterystyce i potęgi w uczuciach, bywają tu blade, pozbawione mocy tragicznej, rozwodnione; gdzie potrzeba słów jędrnych a szybkich czynów, tam wprowadza p. Ł. rozumowania, czułostkowość, frazes opóźniający werwę działania. W ogóle sentymentalizmem grzeszą nazbyt postacie p Ł. A przytem lubi poeta sprowadzać kataklizmy moralne i fizyczne, nie uzasadnione ani naturą duszy, ani tem mniej naturą ludzkiego organizmu cielesnego. Czarodziejską rószczką wywoluje p. Ł. prorocze widzenia, extazy, Bankowe widma w każdej chwili, kiedy zapotrzebuje silnego efektu, zapominając jednak, że takie stany duszy i ciała należy głębiej uzasadnić, bo one są tem trudniejsze do ujęcia dla poety, im bardziej są wyjątkowe w życiu. W ogóle wrażenia wywoływane takimi środkami bywają potężne, ale są zarazem największymi szkopułami — i tylko może jeden Szekspir umiał nadawać im tyle znamion prawdy, tyle wyrazistej naturalności, że czuć w nich było nie sztukę, ale obraz rzeczywisty stanu duszy. U p. Ł. są zaś te postacie podobne do owych kapłanów i sztukmistrzów wschodnich, którzy stają nad dymem cudownego ziela, wciągają w siebie przez czas jakiś jego upajający oddech i znarkotyzowani poczynają bezwiednie wirować, krzyczeć, jeść żelazo itd. Kasztelanowa albo wiceprezydent stoją przez chwilę z okiem posłanem gdzieś w górę — za chwilę podnosi pani Linkowska lub p. Królikowski rękę, marszczy czoło, przybiera pozę rzuconą w tył lub podaną naprzód — i oto wizya gotowa. Widma zdają się snuć w powietrzu, jak ów sztylet w Makbecie, ale tam wierzymy (i w tem różnica!), że Makbet rzeczywiście widzi zawieszony przed sobą sztylet a tu w żaden sposób tej wiary nabyć nie możemy. W tem właśnie tkwi płytkość li tylko zewnętrznej charakterystyki. A cóż mówić o śmierci, która u p. Ł. występuje zawsze jako bezpośredni i konieczny skutek wielkiego bolu, chociaż fizyczną koniecznością wcale nie uzasadniona. Czy to serce nagle pęka kasztelanowej, która już cały akt zapowiada, że tuż — tuż umrze? Czy to apopleksya poraża Lutowidzkiego, który dopiero po wypowiedzeniu długiego monologu, pełnego wizyi i przerażeń, kładzie się i umiera z rozpaczy, że zabił syna? Są to wszystko pytania, na które poeta został nam dłużnym odpowiedzi, a byłby ją dał już w sztuce, gdyby nie zapomniał, że każdy efekt poetyczny, każda kolizya duszy, każda śmierć ciała muszą opierać się na gruncie prawdy, która nigdy przecież nie tamuje polotu zdrowej fantazyi, ale jej owszem pomaga do sprawiania wspaniałych wrażeń. Studyum więc natury i studyum wielkich poetycznych wzorów otwiera się teraz przed p. Ł., skoro pragnie na seryo zająć stałe miejsce w rzędzie polskich dramatycznych pisarzy, a że posiada ku temu warunki, dowodzi pewien niezaprzeczony już postęp w rozwoju jego talentu. Pomiędzy robotami tej miary co „Dwa śluby“ lub „Zapóźno“, a dzisiejszym dramatem leży już wielka przestrzeń i różnica wartości. Sądzimy że pan Ł. pojmuje sztukę nie za żarty, i że ma wrodzoną skłonność ku takim zadaniom umysłu, dlatego wierzyć należy, że gruntowną pracą zasyciwszy pewną, właściwą sobie fantazyę, pójdzie drogą ciągłego postępu. Może zbyt drobnostkowo liczyliśmy się z p. Ł., ale niech raczy przyznać, że więcej w tem czci dla jego talentu, niżeli w sądach: „ta sztuka uchyla się z pod krytyki,“ „tę sztukę należy tylko uczuciem przyjmować“, „ta sztuka może chyba posłużyć dla rozgrzania ludu, bo ma kosynierów na scenie“ itd.

O przedstawieniu „Renegata“ mało da się powiedzieć, bo prz tak skąpej charakterystyce zadanie artystów było bez miary trudnem. Szczęśliwe chwile miewał p. Leszczyński, a natomiast blado wypadła rola Heleny, ale gra panny Deryng nie ulega tym razem krytyce, gdyż artystka była tak chorą, że z najwyższym tylko wysiłkiem dokończać mogła sztuki. P. Baranowski (Walenty) przelał w swą postać wiele naturalnej, wieśniaczej serdeczności, a kiedy stanął w gronie Belwederczyków był jedynem uosobieniem patryotycznego zapału pośród maryonetek.

Bronisław Zawadzki.

SPRAWY DOMOWE.

Niepokojąca wieść o ustąpieniu p. Karola Mikulego z posady artystycznego dyrektora Tow. muz. poruszyła niemal wszystkie muzykalne i dobro sztuki mające na celu umysły naszego miasta. Bo też w istocie z ustąpieniem jego połączyłby się nieodzownie upadek Tow. muz., upadek zmysłu artystycznego w mieście, upadek sztuki przez p. Mikulego do życia obudzonej i z rzadką gorliwością tak umiejętnie pielęgnowanej.

O muzyce lwowskiej wyrażali się artyści zagraniczni jak najchlubniej, zastawali u nas bowiem umysły wykształcone na dziełach Bacha, Beethovena, Chopina, Mozarta, Schumana i widzieli liczne grono artystów i dyletantów ze szkoły Mikulego, jakich w tej stosunkowo liczbie mało które miasto posiada. W istocie powszechne uznanie zasług p. Mikulego przez rzeczoznawców jest zupełnie słusznem i uzasadnionem. Zastanówmy się jedynie nad tem, jakie utwory Tow. muz. wykonuje — i jak je wykonuje? a zobaczymy, że mistrzowi naszej muzyki należy się owszem wdzięczność za nadanie jej takiego kierunku.

Jakie utwory Tow. muz. wykonuje, wie cała publiczność; programy koncertów i wieczorków prawie wszystkie mogłyby stać się wzorami dla miast niemieckich wysoko muzykalnie wykształconych. Od Haendla i Bacha do współczesnego nam Brahmsa nie znajdziesz w historyi muzyki nazwiska znakomitego, z którembyś się na programach koncertowych Tow. muz. nie spotykał. Że doborowe programy wykonywane z artystycznem wykończeniem nie mało się przyczyniają do rozwinięcia zmysłu muzykalnego u ogółu, każdy łatwo pojmie; toż nie ulega wątpliwości, że na tej drodze stworzył p. Mikuli we Lwowie wysoce muzykalną publiczność...

Gra fortepianowa jest u nas świetniej rozwiniętą, bo też od lat czternastu pracuje niezmordowanie w tym kierunku dyrektor Towarzystwa p. Mikuli i dzięki jego zabiegom poszczycić się możemy pianistkami i pianistami, jakich nie łatwo gdzieindziej napotkać — pianistów-gimnastyków świat wiele liczy, ale pianistów-muzyków zastęp tam coraz bardziej szczupleje.

Inne instrumenta nie znalazły tylu amatorów; leży to po części w trudnościach pozyskania dobrych nauczycieli, gdy Towarzystwo bardzo szczupłemi rozrządza dochodami, a po części we wrodzonym nam braku wytrwania, które młodemu np. skrzypkowi po pierwszem odrzępoleniu Walca Straussa lub Mazurka Tymolskiego powiada: Dosyć z ciebie, więcej umieć nie potrzebujesz.

Z dawnych muzyków część już nie żyje, część (Czesi i Niemcy przeważnie) opuściła nasze miasto. Orkiestra więc Towarzystwa składa się z nielicznej garstki

pozostałych dawniejszych amatorów, z kilku młodych talentów i z orkiestry teatralnej systematycznie sprowadzonej na fałszywe tory entre'aktami, operetkami i operami o wartości muzykalnej nader wątpliwej. Jasną więc jest rzeczą, że w takich stosunkach wykonywanie większych dzieł orkiestralnych na mnogie natrafia trudności. Dodajmy jeszcze i to, że dyletanci nie mogą się zupełnie poświęcać ćwiczeniom, że orkiestra jest przeważnie zajętą w teatrze, że częstokroć i ze złą wolą przychodzi walczyć, a wyznać będziemy zmuszeni, że i na polu muzyki orkiestralnej p. Mikuli jako dyrektor stosunkowo do bardzo jeszcze świetnych doprowadza wyników. Sił orkiestrowych nie posiadamy, w muzyce jednak salonowej (Kammermusik) możemy iść o lepsze jak mówiłem, z miastami niemieckiemi, a łatwo się o tem przekonać na wieczorkach Czwartkowych. I one mają strony ujemne, pochodzące właśnie z braku odpowiednich nauczycieli, część jednak fortepianowa rzadko zostawia coś do życzenia.

Tak więc pod każdym względem praca pana Mikulego około podniesienia muzyki w naszem mieście godną jest wszelkiego uznania a wycieczki przeciwko niemu niemają podstawy w prawdzie i sprawiedliwości.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *Fr. Huet. La Revolution philosophique en XIX siecle.* Michel Levy. Paris 1872.

LITERATURA. P. Czarnowski w Warszawie zamyśla peryodycznie wydawać *„Rocznik literacki poświęcony literaturze, oświacie, bibliografii i księgarstwu.“*

— *Friesen Freih. v. Hermann. Ludwick Tieck. Erinerungen eines alten Freundes aus den Jahren 1825 — 1842.* Wien 1872. 2 tomy. Przyjaciel wieloletni poety podaje tu bogaty zasób szczegółów do jego życia, działalności literacko-poetycznej i wpływu na rozwój teatru niemieckiego.

POEZYA. *Echa nadwiślańskie* Teofila Lenartowicza. Tom I. Poznań. Żupański 1872. Nastąpi wzmianka obszerniejsza.

— *Baron Goertz,* truchlohra w pěti dějstvich, napsal Emanuel Bozdech. W Praze. 1871. Dramat ten osnuty na historyi Karola XII. jest najważniejszym dziś pojawem na niwie czeskiej poezyi dramatycznej.

— *La Princisse Georges,* piece en trois actes par Alexandre Dumas fils. Paris. Michel Levy. 1872.

HISTORYA. *Roszkowski dr. Gustaw* wydaje dzieło: *„O poselstwach dyplomatycznych i o konzulatach.*

— *Codex diplomaticus Vielicensis.* Kodex dyplomatyczny Wielicki, wydany z polecenia Ag. hr Goluchowskiego staraniem i nakładem redakcyi *Gazety lwowskiej.* Lwów 1872.

— *Gervinus G. G. Hinterlassene Schriften,* Wien 1872. 8vo. Str. 99. Rozprawy treści politycznej odnoszące się do wojny prusko-austryackiej r. 1866 i prusko-francuskiej r. 1870.

— *Ernest Renan. La reforme intellectuelle et morale.* Paris. M. Levy. 1872. Streściliśmy już to dzieło,

— *R(ömmer): Beiträge zur Beantwortung der Frage nach der Nationalität des Nicolaus Kopernik.* Breslau. Priebatsch. 1872. Dziełko to napisane z wielka bystrością w używaniu broni polemicznej, z gruntownością a przytem pewną werwą oryginalną rozstrzyga ostatecznie sprawę narodowości Kopernika, wykazując jasno, że pochodził z rodziny prawie zupełnie już polskiej rodem i skłonnościami, która przesiedliła się z Krakowa do Torunia, miasta leżącego w ziemi Chełmińskiej, od wieków polskiej; pierwotnie zaś mieszkała na Szląsku, tak że słoworód nazwiska „Kopernik“ jest rdzennie polskim. Skoro Kopernik poczuwał się zawsze do narodowości polskiej, skoro był uczniem akademii krakowskiej i nawet po powrocie z Włoch starał się tu o katedrę matematyki, skoro przez ludność niemiecką nie był lubionym i owszem prześladowanym, skoro w sporach pomiędzy królem a Niemcami zawsze bronił gorliwie rządu, skoro wreszcie żył w przyjaźni tylko z Polakami, jak Marcin z Olkusza, Jakób z Kobylina, Dantyszek i inni, skoro więc miał głębokie po zucie narodowości polskiej, tedy był z pewnością Polakiem. (Z.)

NAUKI SPOŁECZNE. *Kwestya socyalna i sposób jej załatwienia równie korzystny dla robotników jak właścicieli,* napisał dr. Kazimierz Szulc. Lwów 1871. Dziełko popularnie napisane w treściwym i jasnym wykładzie rozwiązuje trudności kwestyi socyalnej drogą stopniowego przypuszczenia robotników fabrycznych do współudziału w dochodach

NAUKI PRZYRODNICZE. *Szyszło W. dr.,* lekarz warszawski, ogłasza przedpłatę na dzieło p. t. *„Przegląd dziejów przyrody,“* studya filozoficzne, obejmujące krytyczny rozbiór głównych kwestyi z nauk przyrodniczych i medycyny. Dzieło ozdobione drzeworytami. Cena przedpłaty 2. rub. 50 kop.

— *Zarys chemii ogólnej,* przez Antoniego Sokolowskiego i Arnolda Navratila; podręcznik dla młodzieży podług wzorowej metody Roscoe ułożony i przez dr Bronisława Radziszewskiego przejrzany, wkrótce opuści prasę.

ODCZYTY. W Niedzielę (d. 11. b. m.) miał w sali ratuszowej Stanisław hr. Tarnowski odczyt „o Towarzystwie przyjaciół nauk,“ opowiadając pokrótce dzieje założenia i rozwoju tej instytucyi, która przez lat trzydzieści tak znakomity, chociaż nie dosyć oceniony wpływ wywierała na umysłowość kraju. Jako zaletę kierunku obranego przez to ciało naukowe słusznie podniósł prelegent, że Towarzystwo nie uchylało się od rozwiązywania pytań praktycznych, ściśle ze życiem spojonych, jako wadę zaś jego, pewną ociężałość i zastój wewnętrzny, który sprawił, że Tow. nie dokonało tak szczytnie przez się powziętej myśli napisania zbiorowej historyi narodu polskiego. Szan. prelegent z właściwym sobie wykwintnym sarkazmem skreślił kilkoma rysami obudzenie się romantyzmu w Polsce i wrażenie, jakie on sprawił na warszawskich „nieśmiertelnych,“ w końcu zaś rzucił kilka poglądów ogólnych na cały charakter i znaczenie cywilizacyjne tej instytucyi, dziś tak chętnie zapoznawane.

TEATR i SZTUKI PIĘKNE. Na *scenie lwowskiej* przedstawioną będzie w przyszłym tygodniu sławna komedya N. Gogola: „Rewizor w Petersburgu.“ na dochód p. Linkowskiego. — W *Krakowie* odegrano z wielkiem powodzeniem d. 10. b. m. tragedyę J. Słowackiego, „Beatrix Cenci.“ Krytyka tamtejsza podnosi wysoko grę p. Hoffmann (Beatrix) i p. Ładnowskiego (Giano Giani). — Przedstawiona świeżo w *Warszawie* komedya 4-aktowa Z. Sarneckiego „Bezinteresowni“ wywołała sądy połowiczne. Zarzucają autorowi blade nakreślenie charakterów i brak wewnętrznego powiązania wielu sytuacyi z przewodnią myślą sztuki, natomiast podnoszą oryginalność pomysłu, zręczne prowadzenie intrygi i wytworny dyalog. — P. *Stanisław Piliński* z Paryża napisał 5-aktową operę: „Żmija,“ do której libretto dorobił W. Gasztowt podług kozackiej powieści Słowackiego. — Najnowsza komedya W. Sardou: *„Rabagas“* jest sztuką tendencyjną, napisaną dla apoteozy upadłego z Napoleonem III. monarchizmu a spotwarzenia Gambetty. Pod względem estetycznym jest ona miernością. — W *Monachium* grają z powodzeniem nowy dramat 5-aktowy F. Kürnbergera: „Firdusi.“ Utwór ten obok bogactwa poetycznych i świeżych pomysłów świadczy o znakomitej zdolności poety w kreśleniu charakterów pełnych i sytuacyi wysoce dramatycznych.

— Znana u nas śpiewaczka warszawska panna *Marya Mecenseffi* bawi w Medyolanie u znakomitego nauczyciela muzyki Lampertiego. D. 18. Stycznia śpiewała w teatrze w *Monza* pod pseudonimem Maryi Bolzano, arye z „Wilhelma Tella“ i „Dinorah.“ Krytyka miejscowa powiada: „Dźwięk głosu p. M. jest bardzo sympatycznym i giętkim do wokalizacyi, metoda śpiewu doskonałą i porywającą, intonacya dokładną.“

— Na *wystawie obrazów* we Wiedniu pojawił się znakomity obraz Hermana Schlössera „Venus anadyomene,“ przedstawiający boginię w chwili, kiedy powstawszy z piany morskiej unosi się w powietrze otoczona chórem Amorków, Nereid i Trytonów. Krytyka podnosi w nim bogactwo fantazyi, wdzięk duchowy postaci i miękką słodycz kolorytu.

— Dziś odbędzie się w sali ratuszowej *wieczór muzykalno-deklamacyjny p. St. Wardzyńskiego*, artysty z Warszawy ze współudziałem znakomitych amatorek naszego miasta panien Z. i S. Program: 1. „Improwizacya“ Ed. Wasilewskiego. 2. „Nowa miłość, nowe życie,“ romans Beethovena (odśpiewa panna Z.). 3. „Farys,“ Karola Balińskiego. 4. „Rapsodya węgierska“ E-moll (odegra panna S.). 5. „Legenda pierwszej miłości“ El...y. 6. a) Arya Mozarta, b) Mazurek Chopina (odśpiewa p. Z.). 7. „Ostatnie chwile Dawizona,“ nowy, oryginalnie napisany monodram. Połowę dochodu p. W. przeznacza na fundusz szkół ludowych. Zajmujący i niezwykły u nas program wieczoru, jakoteż sposobność usłyszenia młodego a tak pełnego talentu artysty, powinny zgromadzić bardzo liczną publiczność.

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.